

SIOSTRY Z BRONISZEWIC

Czuły Kościół odważnych kobiet

S. ELIZA **MYK** S. TYMOTEUSZA **GIL**

ROZMAWIAJĄ: ŁUKASZ **WOJTUSIK** I PIOTR **ŻYŁKA**

Pierwsza rozmowa

Lipiec 2018

Najpierw przegraliśmy z chłopakami z Broniek w piłkę. Na ich terenie, więc bez obciachu. Eliza w rozmowie telefonicznej tłumaczyła, że wprawdzie siostry mogą dużo, ale piłka to jednak taka rywalizacja, w której mężczyźni mogą sobie powiedzieć więcej niż za pomocą tysiąca słów. Żeby nie było niedomówień, na boisku dostaliśmy wycisk! Reprezentacja chłopaków z Broniszewic jest niezniszczalna! Nie łapią zadyszki, nie nudzą się grą i co ciekawe, nie kłócą się o to, kto kogo faulował i czy był karny lub spalony. Interesuje ich wyłącznie gra jako dobry pomysł na wspólne spędzenie wolnego czasu.

Najpierw dostaliśmy bity od chłopaków na boisku, a potem przy stole od sióstr – lekcję pokory. Jadąc do Broniszewic, zastanawialiśmy się z Piotrem, czy jest szansa, by porozmawiać z Elizą i Tymką o ich codzienności – bez lukru, bez upiększających nakładek z mediów społecznościowych, bez wymuszonego uśmiechu. „Wieczorem, siądziemy wieczorem, dopiero wtedy łapiesz tu wolną chwilę” – usłyszeliśmy od Elizy.

Najpierw była zwyczajna rozmowa, siostry, mocno nakręcone wizją wielkiego otwarcia Domu Chłopaków, opowiadały nam, jak urządziły pokoje, jak walczyły o przestrzeń i jak pomogły im ludzie. Potem okazało się, że będziemy się spotykać w różnych, czasem trudnych chwilach, że będą momenty niemocy, że będziemy milczeć wobec siebie przez miesiące. Teraz okazuje się, że z tego powstała książka. Wszystko zaczęło się jednak od tej pierwszej rozmowy...

Łukasz: Matki chorych dzieciaków – jak reagujecie, gdy tak o was mówią?

Eliza: Jesteśmy dumne.

Tymka: Duma nas wprost rozpięta. Być zakonnicą i jednocześnie matką to fantastyczna sprawa, choć ludziom się wydaje, że takie połączenie jest niemożliwe. Często zakonnicę postrzega się jedynie przez pryzmat modlitwy, skupienia i wyrzeczenia, absolutnie nie macierzyńskiego ciepła.

Ł.: Wyrzeczenia przede wszystkim, wyrzeczenia macierzyństwa.

T.: A my w tych dwóch sferach możemy się realizować w jednym życiu! Znajdujemy czas na kontemplację, ale Boga mamy też blisko w drugim człowieku. Mamy chłopaków, którymi się opiekujemy, rozmawiamy z nimi, pomagamy w codziennym funkcjonowaniu, możemy z nimi spacerować po ulicach, chodzić do kawiarni, do kina. Mówią do nas: „mamo”. Jesteśmy wdzięczne Bogu, że możemy tego doświadczać każdego dnia.

Ł.: Ale to nie do końca fair. Przecież poszłyście do zakonu, czyli czegoś konkretnego się wyrzekłyście, a jako prawne opiekunki możecie budować relację matka – dziecko.

T.: Jesteśmy prawnymi opiekunkami dzieci na czas pobytu w Domu Chłopaków, a to nie to samo co adopcja. Nasze dzieci same nas sobie wybierają, to one mówią do nas:

„mamo”. Czasem niezależnie od tego, czy formalnie jesteśmy ich opiekunkami prawnymi, czy nie. Z Jarkiem, nastoletnim chłopcem, który trafił do nas rok temu, było tak, że najpierw zostałam jego mamą, a dopiero później była cała papierologia.

Pewien pan z firmy budowlanej, która obecnie zajmuje się wykończeniem wewnątrz Domu Chłopaków, powiedział ostatnio do mojej bratanicy, która wpada do nas regularnie na wolontariat: „Słuchaj, Iza, ile Jarek ma lat? Bo tak się zastanawiam, czy twoja ciocia urodziła go przed klasztorem czy już w klasztorze”. To są zabawne sytuacje, ale czasami nie wiadomo, czy się z nich śmiać, czy szybko prostować.

Ł.: **Jak Jarek cię wybrał? Pojawił się w Domu Chłopaków i oznajmił: „Będziesz moją mamą”?**

T.: Właśnie tak! Dom w Broniszewicach to jego piąte miejsce pobytu. Wcześniej miał problemy i w rodzinach zastępczych, i w domach dziecka. Byłam pierwszą osobą, którą spotkał w drzwiach naszego domu. Zobaczyłam bardzo chudego, słodkiego, małego chłopaka. Podbiegł do mnie i zapytał: „Gdzie idziesz?”. Odpowiedziałam: „Sprawdzić, co się dzieje na budowie”. „Idę z tobą, bo ty będziesz moją mamą!”. Pozamiatane.

Piotr: **Jarek jest pierwszym dzieckiem, które zaczęło do ciebie mówić „mamo”?**

T.: Tak, pierwszym. To dzięki niemu jestem mamą.

Ł.: Można być u was mamą dla więcej niż jednego dziecka?

E.: Można. Ale do mnie jeszcze tutaj nikt otwarcie nie powiedział „mamo”. Z wyjątkiem Jarka, któremu zdarza się tak do mnie zwracać pod nieobecność Tymki. Cieszę się wtedy, bo wiem, że ma zapewnioną ciągłość w poczuciu bezpieczeństwa. Zauważyłam, że Jarek, przebąkując coś czasem o swojej przeszłości, nie wspomina facetów, jakby mężczyzn wymazał z życiorysu, jakby nie mieli dla niego żadnego znaczenia.

Uwielbiam, kiedy chłopcy odwiedzają mnie w biurze, i zawsze gdy ich spotykam, przywitanie wygląda tak, jakbyśmy się nie widzieli rok. W Kielcach, gdzie prowadzimy ośrodek wychowawczy dla dzieci z niepełnosprawnością, miałam córeczkę Basię. To cudowne, że mogłam być dla niej całym światem. Tam dzieci po ósmej klasie musiały od nas odejść (inaczej niż w Broniszewicach, gdzie chłopcy najczęściej zostają z nami już na zawsze). Dla Basi to było bardzo ciężkie przeżycie, ponieważ miała świadomość, że nie może z nami zostać i że jej życie drastycznie się zmieni. Również dla mnie to było trudne. Ubolewałam, że tam nie możemy dziewczynkom pomóc po ich odejściu. Marzyły mi się mieszkania chronione dla dziewczyn, żeby mogły w miarę normalnie funkcjonować i nie musiały wracać do swoich rodzin, bardzo często patologicznych, alkoholowych, dysfunkcyjnych. Ale byłam wtedy młodziutką siostrą, nie czułam w sobie siły, żeby coś w tym kierunku zrobić. To właśnie dzięki dzieciom z niepełnosprawnością złapałam realny kontakt z Bogiem. Poleganie na Jego obecności tylko w Najświętszym Sakramencie było dla mnie niepełne.

Ł.: W Broniszewicach spotkamy chłopaków z bardzo dużymi problemami adaptacyjnymi, poważnie chorych, z różnymi rodzajami niepełnosprawności. Tyle ludzkiego niezawinionego cierpienia, a ty mówisz, że widzisz tu umocnienie, widzisz Boga.

E.: Wiesz, nigdy o tym w ten sposób nie pomyślałam. Spotykam ludzi, którzy mówią, że nasz dom to najlepszy dowód na to, że Bóg jest. Co ciekawe, również spora część ateistów mówi, że powstanie Domu Chłopaków w Broniszewicach i sposób jego funkcjonowania to najlepsze dowody na istnienie siły wyższej. Chłopcy są tu naprawdę szczęśliwi, a my staramy się to ich szczęście pokazywać ludziom w każdy możliwy sposób. I to ich widoczne szczęście doprowadza wielu ludzi do refleksji nad dobrocią Boga. Ta siła oddziaływania chłopców daje mi kopa.

Ł.: W Kościele katolickim niewiele miejsca poświęca się niepełnosprawnym.

E.: Na początku w Kościele nie czułam, że niepełnosprawni są ważną częścią wspólnoty. Krzyczałam wewnątrznie i pragnęłam, żeby ludzie wokół mnie znaleźli w nich Boga, podobnie jak ja. A tymczasem o wiele szybciej to ludzie niewierzący Go w nich spotykali.

P.: A co to znaczy, że siostra spotkała żywego Boga?

E.: Kiedyś myślałam, że Bóg to gość, który stacjonuje w niebie, Wielki Nieuchwytny. Ale mnie taka Jego obecność nie satysfakcjonowała. Tęskniłam za Bogiem, z którym możemy sobie posiedzieć, spojrzeć w oczy, który jest obecny w realny sposób przy mnie, gdziekolwiek jestem. Okazało się, że w moim życiu to twarze

niepełnosprawnych chłopaków i dziewczyn są twarzą Boga, ich spojrzenie Jego spojrzeniem, a kiedy ich przytulam, przytulam samego Boga. Bóg w Broniszewicach obecny jest przez chłopaków. Gdy siedziałam nad papierami nowej inwestycji i biadoliłam, bo czułam się oszukana przez któregoś z wykonawców, nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiał się Andrzej. Przytulał mnie, całował w czoło i pytał, jak się czuję. Dla mnie to widzialne i czułe działanie Boga, któremu nie jest obojętne moje przygnębienie, mój smutek czy bezsilność.

P.: A osądzone będziecie z bycia matkami czy zakonniceami?

T.: „Byłem chory, byłem nagi, byłem spragniony” – to słowa Jezusa. Nie mówił, że tylko adorując Go, jesteśmy w stanie spotkać Boga. On powiedział: „Byłem w konkretnym człowieku, a ty właśnie wtedy byłeś przy mnie”. Tak będziemy sądzeni. Zresztą sam był w więzieniu. Wobec współczesnych więźniów zachowujemy największy dystans, a Jezus przecież jest w nich. Ufam, że słusznie podjęłam ryzyko. Apostołowie też je podjęli, widzieli człowieka, a uwierzyli, że jest Bogiem.

P.: Wy zaryzykowałyście wiele. Ksiądz Jan Kaczkowski często powtarzał, że troska Kościoła o życie człowieka kończy się na łonie matki. Czemu w Polsce z Kościołem, który chroniłby życie zawsze i wszędzie, a nie tylko na tym pierwszym etapie, jest tak źle?

E.: Wydaje mi się, że polscy katolicy świetnie zdają egzamin z przykazania miłości, ale tylko z jego pierwszej części: miłuj Pana Boga swego całym sercem, całą duszą i tak dalej. O wiele gorzej

idzie nam realizacja frazy: a bliźniego swego jak siebie samego. Mamy tu sporo do nadrobienia.

Ł.: Mamy sporo do nadrobienia, jeśli chodzi o stosunek do niepełnosprawnych?

E.: Wizerunek matki niepełnosprawnego dziecka w Polsce to najczęściej obrazek kobiety samotnej. Tu, w Broniszewicach, doskonale rozumiemy lęk przed urodzeniem takiego dziecka. Matki dzieci z niepełnosprawnością zwykle przeżywają opuszczenie i cierpienie, podejmują niezmiernie wysiłek związany z opieką nad swoim chorym dzieckiem, który nigdy się nie kończy. To znaczy kończy się z chwilą śmierci dziecka, co wiąże się z kolejną traumą. Przecież spora część z tych dzieci nigdy nie wyrośnie z pieluch. Naturalną kolejną rzeczą dziecko im starsze, tym bardziej samodzielne. Natomiast przy dziecku z niepełnosprawnością ten porządek jest zaburzony, odwrócony. Im dziecko większe, tym cięższe, a z pieluch i przewijania nie wyrasta. Rodzicom zaś nie przybywa z czasem sił, ale ubywa. Trzeba więc zrozumieć, jak bardzo świat rodziny z niepełnosprawnym dzieckiem jest wywrócony do góry nogami. A Kościół, w którym szukają oparcia, spycha je na margines. Czują się osamotnione i niezrozumiane. O tym słyszymy w ich zwierzeniach. Myślę, że skoro tak się czują, to mamy sporo do nadrobienia.

P.: Janina Ochojska, która aktywnie wspierała protesty rodzin i osób niepełnosprawnych w 2018 roku w Sejmie, przyznała, że w tej sprawie Kościół zawiódł na całej linii.

T.: Krótka odpowiedź z bliskiego podwórka: zapraszałyśmy ludzi do naszego domu, żeby przyjechali na wakacje, przeznaczyli choć jeden dzień albo weekend, by pobyć z chłopakami, tak jak wy teraz jesteście. I nic. Przecież chodziło tylko o to, żeby chłopaki pobyli z innymi ludźmi. Nikt się nie pojawił. Ludzie w czasie wakacji wybierali pielgrzymki i modlitwy w intencji chłopaków.

E.: Kiedy słyszę, że ludzie idą na ekstremalne drogi krzyżowe po to, żeby się maksymalnie wysilić, często chce mi się krzyczeć, żeby ci faceci, zamiast robić tyle kilometrów, zamienili te godziny marszu na przyjazd do nas, na pomoc w przewijaniu chłopaków, których nam trudno udźwignąć, żeby poświęcili czas potrzebującemu człowiekowi.

T.: Nie mamy nic przeciwko pielgrzymkom, ale sytuacja, w której nikt nie znalazł ani jednego dnia, by nam fizycznie pomóc i postużyć dziecku, daje do myślenia.

E.: Marzy mi się Kościół obecny przy najślabszym, w którym katolik idzie na pielgrzymkę, ale znajduje również czas na pomaganie najślabszemu i ostatniemu w Kościele.

Ł.: Jak dajecie sobie radę z tymi ostatnimi w Kościele?

E.: Graliście tu w piłkę z kilkoma chłopakami, to ci najbardziej aktywni, samoobsługowi. Reszta ma większe problemy fizyczne i psychiczne. W sumie w Broniszewicach mamy pięćdziesięciu sześciu chłopaków. Nas, sióstr, jest kilkanaście, do tego ponad czterdzieści świeckich osób, które z nami stale współpracują, pomagają, opiekują się chłopakami.

T.: Spytałeś o ważną rzecz. Rzadko kiedy ludzi interesuje, jak my się mamy, jak sobie radzimy, jak wygląda nasze życie duchowe w takim biegu.

E.: Niewierzący pytają.

P.: Przychodzą kryzysy?

T.: Pewnie. Miałyśmy takie załamanie całkiem niedawno, gdy jedno z naszych dzieci trafiło do szpitala. Umierało, a nam brakowało ludzi. Siostra Hania była przy nim przez tydzień bez przerwy. Spała na krześle w szpitalu. Najgorsza jest niemoc, gdy słabnie fizycznie. „Nie jesteś aniołem, bo masz ciało” – powiedział kiedyś słusznie dominikanin Wojtek Jędrzejewski. Nasze ciała też czasami zawodzą.

Ł.: A odpowiedzialność? Nie przytłacza was sytuacja, w której jesteście odpowiedzialne za życie i rozwój ponad pięćdziesięciu ludzi i personelu, któremu dajecie pracę?

E.: Ta nasza odpowiedzialność rozkłada się na wszystkich współpracujących z nami. My nie wystarczamy chłopakom, nie możemy z nimi być cały czas i jednocześnie organizować życia tego miejsca. Dlatego ufamy ludziom, którzy z nami pracują. To odpowiedzialność oparta na zaufaniu. I Panu Bogu ufamy.

T.: Mamy dobre relacje w broniszewickiej wspólnotcie. Co ciekawe, dopiero tutaj zawiązały się między nami relacje przyjaźni, tu zaczęłyśmy coś wspólnego z siostrą Elizą i siostrą Reginą.

E.: I nie męczymy się sobą, tworząc to miejsce. W pojedynkę byłoby to nie do ogarnięcia.

P.: Siedzimy z zakonnkami, które jednocześnie są równymi babkami. Możemy z wami swobodnie rozmawiać. Nie brzmicie tak, jakbyście dopiero co wyszły z chóru. Łamiecie stereotyp pobożnej, grzeczniutkiej, rozmodlonej zakonnicy, która w Kościele jest na posługę. Dlaczego jesteście takie, a nie inne?

T.: Przede wszystkim dlatego, że mieszkamy z pięćdziesięcioma sześcioma facetami!

E.: Siostry, które przeszły przez DPS dla chłopaków lub drugi dla dziewczyn, mają już nieco inną duchowość. Niepełnosprawni w jakiś sobie właściwy sposób wyzwalają w nas spontaniczność, naturalność – to po pierwsze. Po drugie, zakon dominikański niczego nam, siostrom, nie narzuca. Nie ma tu „zakonnicowego” stylu bycia: buzi w dzióbek, wzroku utkwionego gdzieś w niebo, przechylonej główki i anielskiego głosiku. A poza tym: kochamy!

T.: I paradoksalnie dzięki temu nie mamy nic do ukrycia. Mamy kilkudziesięciu fajnych facetów, których chcemy pokazywać światu. Niech ich wszyscy widzą i podziwiają! I niech się od nich uczą!

Ł.: Czego?

T.: Przede wszystkim kultury osobistej, czułości, empatii, troski o drugiego człowieka. Tak przesympatycznych, miłych, uczciwych mężczyzn na co dzień nie spotykasz na ulicy. Oni są prawdziwymi dżentelmenami.

P.: Gdy razem jedliśmy obiad w lokalnej restauracji, jeden z chłopaków na pożegnanie pocałował właścicielkę w dłoń.

- E.: Andrzej w ten sposób daje wyraz swojej wdzięczności. Chłopaki często, gdy panie podadzą im coś w sklepie, myślą, że zostali obdarowani, nie obchodzi ich, że przecież płacimy za tę rzecz. I tak są wdzięczni. Nam też bardzo często w taki sposób okazują wdzięczność, nawet za drobne rzeczy, takie jak cukierek czy wspólny wyjazd.
- T.: Wiecie, co by się stało, gdybym teraz się spakowała i wyszła z domu z walizką? Podbiegliby chłopcy i mi tę walizkę zabrali. Wpakowaliby mnie do samochodu i wyściskali na pożegnanie, choćbym wyjeżdżała tylko na jeden dzień... Kobieta nie ma tu prawa niczego dźwigać. Chłopaki nie mówią, ale komunikują: „Po to jesteśmy facetami, by wam pomagać”.
- E.: Przez kilkadziesiąt lat nasze poprzedniczki, też dominikanki, budowały tu bardzo dobre relacje z chłopakami. Nasze klasztory formalnie mają klauzurę, ale tu nigdy nie było zamknięcia przed nimi. Chłopcy zawsze wnosili cięższe rzeczy do klasztoru, pomagali nam wnosić walizkę lub kartony przy przeprowadzce na inną placówkę. Gdy któraś siostra była chora, chłopcy mogli ją odwiedzać. Wbiegali za klauzurę do pokoju, żeby sprawdzić, czy żyje.

P.: Wszystkie siostry z waszego zakonu są do was podobne?

- E.: Oczywiście, że nie. Jesteśmy bardzo różne, jest nas ponad trzysta. Wszystkie stoimy przed takim zagrożeniem, że jeżeli przestaniemy zwracać uwagę na rzeczy pierwszoplanowe, miłość i czułość wobec potrzebujących i najsłabszych, miłosierdzie wobec siebie nawzajem, głoszenie Dobrej Nowiny, staniemy się sztywne, drobiazgowo, zajęte sobą. Do ważnych problemów

mogą urosnąć kolory skarpet, jakie nosimy, czysty habit czy równo upięty welon.

T.: A ja ciągle chodzę brudna i mam pognieciony habit.

E.: To przez budowę.

T.: A to otrę się o ściany na budowie, a to pies na mnie wskoczy, a to Jarek przytuli się po zjedzeniu czekoladki.

Ł.: Chłopaków uczycie jednak tego, by o siebie dbali, wpoiliście im też poczucie obowiązku. Przydzieliliście im w domu zadania. Andrzej myje naczynia, Krzysiek karmi zwierzęta, Maniek wyprowadza sukę Bronkę. Co im to daje?

E.: Nie traktujemy Domu Chłopaków jako instytucji. Chcemy, aby był to normalny dom, w którym dziecko też zmywa naczynia i wyprowadza psa na spacer. Staramy się ich obowiązki dostosowywać do ich naturalnych pasji i zainteresowań. To również trening, przypomnienie: „Maniek, Bronka była rano na spacerze?” „Tak. Była”. Czasami zdarza się, że zapomni, wtedy mówię po prostu: „Mariusz”. A on odpowiada: „Dobra, dobra, już z nią lecę na spacer”. Podpowiadanie mu, towarzyszenie, sprawia, że czuje się ważny, i gdy czasem wyjeżdżamy z domu, z przyzwyczajenia nadal opiekuje się psem. Krzysiek uwielbia pracę na gospodarstwie. Mamy ponad trzydzieści kur. Tymka za nimi nie przepada, ale nie możemy się ich pozbyć, ponieważ Krzysk kocha kury. Co zrobić? Będą kury w Broniszewicach. W ozdobnym kurniku. Broniszewice są przecież naszym wspólnym domem.

T.: Pamiętajmy, że chłopaki często nas po prostu naśladują. Tak jak dziecko w rodzinie, gdzie ktoś przeklina, idzie do szkoły i zaczyna przeklinać, tak u nas to, co pokazujemy, jakie

jesteśmy, rzutuje na ich zachowanie. Jesteśmy z nimi tylko przez chwilę – czas mycia zębów, ubierania się to moment, gdy są z opiekunkami, my wtedy dyżurujemy w biurze. Organizujemy działania w Domu Chłopaków i choć nie robimy z nimi wielu rzeczy codziennych, poświęcamy im każdą wolną chwilę.

E.: Nawet gdy siedzimy w biurze, chłopaki do nas przychodzą. Trudno nie zwracać uwagi na Adriana, który nagle musi ci wszystko pokazać, ponieważ posługuje się systemem znaków, gestów – makatonem. I tak zamiast w komputer, patrzysz na Adriana i przez parę minut próbujesz się domyślić, co właśnie do Ciebie „mówi” tymi rękoma!

T.: Przecież tobie pokazał bramkę, a to oznaczało, że będziecie grali w piłkę i on będzie bramkarzem. Zrozumiałeś bez problemu, ponieważ poświęciłeś mu chwilę uwagi. Tego się uczymy. Kiedyś siostra Paula została na pojedynczym dyżurze, jesteś wtedy sam z grupą kilkunastu chłopaków na osiem godzin. W mieszkaniu Pauli mieszka czternastu chłopców z różnym stopniem niepełnosprawności. Na pięćdziesięciu sześciu chłopaków tylko trzech potrafi się samodzielnie umyć, do tego dochodzi sprzątanie i porządkowanie sali dziennego pobytu. Do Pauli podszedł wtedy Radek i powiedział: „Słuchaj, ty sobie z tym nie dasz rady”. Po chwili dodał: „Daj mi miotłę, posprzątam”. Od tej pory zmiata, gdy tylko jest taka potrzeba.

E.: Oni mają w sobie rodzaj naturalnej męskości, przeświadczenie, że kobiecie trzeba pomóc. Nie wyręczać jej, ale ją wspierać. Osoby w rodzinie przecież powinny się wspierać.

T.: Często rzucają nam hasło: „Ty to jesteś za słaba. Daj, ja to zrobię”.

E.: Fajnie się z nimi czujemy również jako kobiety. Poza tym mówimy przecież o relacji matka – syn.

Ł.: Do takiej relacji może się wkraść nadopiekuńczość. Skoro już jesteś, to nic nie rób, tylko się ucz, synku! Młodego człowieka często trudno namówić do odpowiedzialności za miejsce, w którym żyje. Choć jest w nim otoczony rzeczami.

T.: Jest różnica. Nasi chłopcy nie mają potrzeby posiadania telefonów komórkowych. Często nie mają też nikogo, do kogo mogliby zadzwonić. Jeśli chcą z kimś porozmawiać przez telefon, wybierają numer do nas, a nas mają przecież cały czas. Niektórzy mają telefony komórkowe, ale bardzo rzadko służą im one do komunikowania się. Może chodzi o to, że inne dzieci w szkole też mają komórkę. Nasi chłopcy nie mają potrzeby posiadania komputera. Jeśli już z nich korzystają, to głównie po to, by posłuchać muzyki.

E.: Kupiliśmy im ostatnio najnowszą wersję konsoli do gier z czujnikiem ruchu. Zalega nam teraz w magazynie, ponieważ chłopaki grają tylko wtedy, kiedy my gramy, inaczej nie są tym w ogóle zainteresowani.

T.: Nie są typowymi nastolatkami. Jest telewizor – fajnie, a jeżeli go nie będzie, trudno, nic się nie dzieje.

Ł.: Są typowymi nastolatkami, ograli nas w piłkę na boisku.

E.: To najlepszy dowód, że nie są. Typowy nastolatek gra dzisiaj w piłkę nożną na kompie.

Ł.: A zazdrość? Jak sobie radzicie z zazdrością?

- T.: Raczej nie ma zazdrości, a jeżeli już się pojawia, szybko reagujemy i staramy się coś z nią zrobić, w jakiś sposób zrekompensować brak uwagi czy zainteresowania, bo jeżeli jest zazdrość, to tylko w takich sytuacjach.
- E.: Panie, które są z nimi na co dzień, mają z tym czasem kłopot, chłopaki nie. Pan Jezus też miał wybrańców, których zabierał na najważniejsze akcje.
- T.: Przyznaję, zdecydowanie wyróżniam Jarka. Zabieram go ze sobą wszędzie, gdzie tylko mogę. Czasem wydaje mi się, że jest na mnie skazany, a ja na niego.
- E.: W ogóle nie kojarzę facetów z zazdrością, o którą pytaacie. We wcześniejszym domu, w którym byłam, gdzie opiekujemy się dziewczynami, była zazdrość, no i kobiece fochy.

Ł.: A chłopaki? Nie rywalizują o was? Rozumiem, nie są zazdrośni, ale widać, że chcą po prostu w miarę możliwości być z wami jak najdłużej. Szczególnie gdy wyjeżdżacie. Widziałem to w Broniszewicach kilka razy – oczekiwanie na wyjazd, wycieczka! Jak to wygląda?

- E.: Chłopaki patrzą, co mamy przy sobie, jeśli tylko któraś z nas weźmie torebkę, oznacza to wyjazd i wtedy zaczyna się zabawa. Każdy chce pojechać autem. Dlatego często chodzą z nami po urzędach.
- T.: Nawet jak wjeżdżam tylko do garażu zaparkować samochód, chłopaki obskakują auto, żeby choć chwilę pojechać ze mną.
- E.: I chyba nie ma w tym zazdrości, że ktoś wsiadł, a ktoś nie. Radzą sobie, dogadując się po męsku: „Jutro ja parkuję, zobaczysz, jutro nie wsiądziesz”. Rozładowują sytuację.

P.: Katolicy pomagają, ale czasem robią to z poczucia obowiązku, żeby „wykonać” uczynki miłosierdzia. Wy po prostu jesteście z chłopakami.

E.: Oni uzależniają nas od siebie, dlatego łatwo nam z nimi być. W naszym zakonie silną grupę stanowią katechetki. Patrzą na mnie i radzą; „Odpocznij sobie”. Odpowiadam im, że w weekend będzie możliwość, ponieważ jadę na kwestę z chłopakami. Wtedy słyszę: „Jak to z chłopakami? Przecież przy nich w ogóle nie złapiesz oddechu”. A ja uwielbiam z nimi być.

Ł.: A Kościół, do którego jedziecie kwestować, przyjmuje was z otwartymi rękami?

E.: Kościół ludzi – tak.

T.: Raczej jesteście bardzo dobrze przyjmowane. Ludzie są niesamowici, czasami prowadzą z nami długie rozmowy, dopytując o Broniszewice. Kochają słuchoać o chłopcach, o takim właśnie Kościele, jaki tworzymy w Bronkach.

E.: O ile parafianie, ludzie, są otwarci, o tyle z księżmi różnie bywa. Na dziesięć telefonów z prośbą o kwestę jeden życzliwie nas wysłucha i przyjmie. Od księży najrzadziej doświadczyliśmy przychylności i zrozumienia naszej tragicznej sytuacji w czasie budowy Domu Chłopaków. Najczęściej w rozmowach z nami interesował ich wymiar finansowy tego przedsięwzięcia. Tylko jednostki z nami współodczuwały.

T.: Może psujemy im wizerunek Kościoła.

Ł.: Z czego to wynika?

E.: Może Kościół osób ubogich, wykluczonych nie jest ich codziennością. Zauważyliśmy, że w towarzystwie naszych chłopaków księża najczęściej czują się nieporadnie. Może przygotowanie intelektualne do kapłaństwa ma przewagę nad przygotowaniem do bycia wśród chorych, niepełnosprawnych, wykluczonych, zmarginalizowanych. Znajoma siostra spotkała biskupa postępującego w Azji i zapytała go, dlaczego u nich wspólnoty rosną w siłę, jest coraz więcej wiernych, a u nas trwa kryzys, kościoły pustoszeją. Odpowiedział: „Wy w Europie doprowadzacie ludzi do sakramentów, a my w Azji doprowadzamy do spotkania z żywym Bogiem. U nas Go po prostu mają, a wy macie za to bierzmowanych, którzy ani razu nie mieli kontaktu z żywym Bogiem, tylko z sakramentem”. Niestety z podobnym podejściem do osób z niepełnosprawnością intelektualną spotykamy się wśród polskich księży. Z chłopcami trudno spotkać się na poziomie intelektualnym, dlatego często są marginalizowani w Kościele, ponieważ nie są w stanie nauczyć się *Ojciec nasz* czy *Zdrowaś Maryjo*. Z tej logiki wynika, że nie nadają się do przyjęcia sakramentów, bo nie mają mocy intelektualnych.

Ł.: Chcielibyśmy o tym Kościele kobiet, Kościele bliskości, słuchania i działania jeszcze trochę porozmawiać.

E.: Super. Ale najpierw weźcie Jarka i Mańka na rowery, a potem pomożecie nam przy leżących chłopakach.